Nr. 6. We Lwowie, październik 1921. Rok XLII.

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Kalendarz łowiecki W październiku wolno polować na wszelką zwierzynę łowną.

Redakcja i Administracja „ŁOWCA" znajduje się przy ul. Mickiewicza l. 6. Godziny urzędowe dla stron od 10—12. W niedzielę i święta biuro zamknięte.

Wszelkie wpłaty należy uskuteczniać w tem biurze za jego odpowiedniem pokwitowaniem, względnie za przekazem pieniężnym lub czekiem, zachowując recepis jako dowód zapłaty. Tam również należy przesyłać wszelkie korespondencje przeznaczone dla Redakcji i Administracji „Łowca". Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Ponieważ przyszły numer „Łowca" chcemy poświęcić specjalnie tegorocznemu rykowisku, upraszamy Myśliwych o wiadomości z gór.

ALBERT MNISZEK.

Gęś dzika w łowiectwie.

(Gęś dzika jako zdobycz myśliwska. Gatunki i ich cechy. Gęś gęgawa, jako ptak lęgowy. Zwyczaje. Hodowla. Polowanie).

(Dokończenie).

Daleko pewniejsze, więcej uroku posiadające jest polowanie na stawie.

Raz w upalny dzień lipcowy polowałem na kaczki. Płynąłem cicho z moim przewodnikiem mrocznym korytarzem wśród morza trzcin jakby zamarłych w złotym pożarze słońca. Zbliżaliśmy się cicho do opodal leżącej halawki, najpewniejszej ostoi kaczek. W tem doszło nas gęganie gęsi. Gubi te ostrożne ptaki często wrodzona ich gadatliwość. I tym razem tak się stało. Zmiana cienkiego śrutu na śrut grubszy i zdwojona odtąd ostrożność! Przed samą halawką zrywają się gęsto i z wielkim łopotem, lecz bezkarnie krzyżówki. Ale już słychać głos ostrzegawczy starego gęsiora, któremu się to zrywanie kaczek wydało podejrzane. Było to jednak zapóźno. Strażnik przespał sprawę. Za chwilę wpadamy w hurmę przerażonych ptaków. Rzucam z dwu moich dubeltówek cztery strzały a pięć sztuk dogorywających gęsi trzepie skrzydłami po wodzie.

Przychodzi mi w tej chwili na pamięć zabawny epizod, jaki miałem na stawie na Ukrainie, polując pierwszy raz tam z śrutowym browningiem.

Podjeżdżaliśmy pod ochroną szuwarów widoczne zdala stadko. Mój przewoźnik Wasyl z powątpiewaniem i zdziwieniem spoglądał na moją jednorurkę, wreszcie zaczął mi tłumaczyć, że z taką nie warto na gęsi polować, nie mając możności dania drugiego strzału. Pozostawiłem go w nieświadomości konstrukcji mojej broni, a nawet ostentacyjnie włożyłem jedyny nabój do lufy, mając już cztery w magazynie. Podjechaliśmy szczęśliwie stadko. Ptaki zrywają się z pod samego czółna. Pierwsze cztery padają na wodę po moich czterech strzałach. Byłbym ubił i piątą i ostatnią ze stadka sztukę, gdyby nie nieludzki ryk Wasyla, który wytrącił mnie z równowagi i zmusił do serdecznego śmiechu. Długo on uspokoić się niemógł a do mnie, więcej jeszcze do mego browninga, nabył odtąd niemal bałwochwalczych uczuć.

Do zasiadki przygotowywałem z początkiem sezonu kilka miejsc na obu stojących do mojej dyspozycji stawach. Ponieważ łódź nie tak łatwo ukryć się daje, wyszukiwało się miejsca na suchych okrytych trzciną spławach, leżących w pobliżu gęsich miejsc postojowych. Na miejscach tych ustawiało się stołeczki, gdyż czasem kilkugodzinne czekanie dla myśliwego w postawie stojącej byłoby zbyt uciążliwe. Myśliwy wysiadał, a przewoźnik z łodzią uciekał coprędzej na brzeg, by w danym razie gęsi, w innem miejscu zapadające, napędzić na strzał.

Czasami cierpliwość myśliwego przechodziła ciężką próbę. Zdarzało się często, że gęsi zapadały na miejsca odległe i dopiero powoli ku miejscu zasiadki podpływały. Trwało to nieraz godzinami. Przewoźnik na brzegu zręcznem manewrowaniem starał się całą rzecz przyspieszyć, ale nie zawsze się to udawało, gdyż gęsi niepokojone się zrywały i odlatywały często w przeciwnym kierunku

Wspaniały to obrazek przyrody, zapad gęsi na stawie!

Siedzę od pół godziny na spławie. Trzcina w kilku miejscach wyłamana daje mi możność we wszystkich kierunkach widoku na wodę, w górze mam przestrzeń zupełnie wolną do strzału w lot. Przy mnie siedzi wierna mych przygód myśliwskich towarzyszka, Gryfonka. Cudowny, wyśniony ranek. Słońce sypie potoki złota na wody i szuwary, ścierniska i świeżo zorane pola, na cicho szumiący dębowy nad stawem lasek. Na wielkiem ściernisku pszenicznem pasą się setki krów i owiec, a opodal poszóstne zaprzęgi wspaniałych białych wołów orzą głęboko hebanowy czarnoziem. Klasyczny ukraiński krajobraz!

Naprzeciw mnie w olbrzymim bukiecie lip i topól wiekowych, rozsiadł się stary dwór, co wychował mych dziadów! Białe jego zabudowania lśnią jak lustra w słońcu!

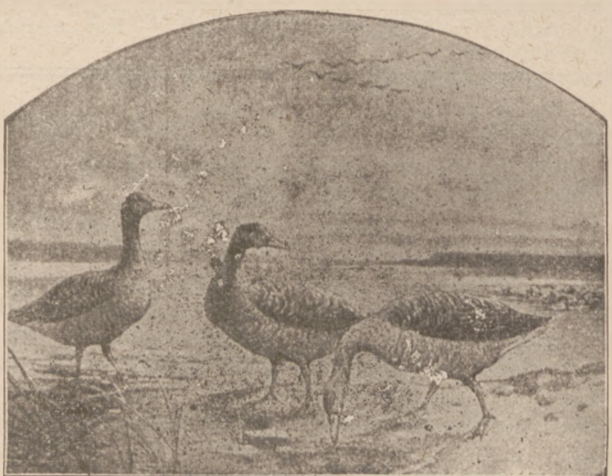
Nie myślałem wtedy, że to ostatnie moje tam łowy! Że ten cudowny i bogaty kraj śpiewa swoją pieśń łabędzią. Że przejdą wkrótce nad nim burze, pod obuchem których runie cały pracą kilku pokoleń zbierany skrzętnie dobytek i kilkuwiekowa kultura, że spali się ten olbrzymi szmat ludzkich osiedli w straszliwej pożodze i skąpie się w strumieniach krwi bratniej!

Ale wtedy było tam jeszcze cicho! Wiatr tylko zachodni żywszą od czasu do czasu w las oczeretów wpadał falą i niósł do ucha ludzkiego echa dalekich, głuchych jakby podziemnych grzmotów... To śmierć spiżowymi surmy głosi z oddali setek wiorstw swe tryumfy! To grzmią działa Hindenburga!

W tem pies mój nadstawił uszu, nieomylny znak, że lecą gęsi. Za chwilę woła z brzegu mój przewoźnik: „hu-

sy letiat!“ i równocześnie słyszę orkiestrę z stu gęsich gardzieli. Leci wprost na mnie czarna chmura ptaków. Okrążają wysoko obrane przez się na zapad miejsce. Gęsi nie zapadają, jak kaczki, lecz efektownie, jakgdyby łamały skrzydła, z wielkiej wysokości prostopadle, prawie do samej powierzchni wody koziołkują. Kilka sztuk nad głową mi przelatuje. Dwa strzały i dwa piękne, ciężkie ptaki koziołkują też, ale już martwe i ciałami uderzają w świetlaną powierzchnię wody...

Tak to polowałem przez szereg lat w ojczyźnie kurhanów! Tak to polowałem po raz ostatni! Wiatr grał mi wtedy na złotych strunach trzcin błękitnego stawu balladę pożegnania, której na szczęście nie rozumiałem! Grał mi dumkę, gdzieś na mogiłach Dzikich pól zrodzoną, powtarzał przed wiekiem słyszane proroctwo Wernyhory! Minęły urocze na halawach stawów ukrainnych przeżywane chwile, minęły jak sen fantastycznie uroczy, tem więcej sercem w wspomnieniach pieszczone, że bezpowrotne!...



Wspomnienia z rykowisk.

(Dokończenie)

I znowu nastąpił dzień 28. września 1920 roku.

Nie będę wspominał ile zmian, ile smutków, ile radości przeżyliśmy przez ten pamiętny 1920-ty rok, tak brzemienny w dziejowe wypadki!

I znów w cudny poranek pogodny wybrałem się z obydwoma mymi Fediami, gdy ciemno jeszcze było, w wysokie rejony Koniusiaka Wysokiego, gdzie od dwóch lat już słyszałem wysoko pod szczytami ryczące dwa jelenie. Ścieżek podchodnych tam żadnych nie było, więc upatrzywszy ścieżynkę udeptaną przez jelenie i w lecie przez bydło, w te wyżyny udaliśmy się. Po trzech godzinach marszu pod górę, usłyszeliśmy jelenia wysoko jeszcze przed nami ryczącego. Około godziny 8-mej rano dostałem się pod niego, ryczał sam, był to dwunastak, nawet niezły, lecz, że niedaleko zaczął się drugi odzywać, więc pozostawiwszy tego niepłoszonego, w stronę drugiego się podsunąłem. Po niedługim czasie ujrzałem go wśród karłowatych świerków na polance ryczącego. Był to już 14-tak z ciemnymi ładnymi rogami. Strzał dany na 120 kroków powalił go na miejscu. Po odcięciu rogów zaczynamy się zastanawiać, dlaczego te obydwa byki były bez łań, choć śladów jeleni rodzaju żeńskiego było wokoło dosyć. Nic innego, musi tu gdzieś jeszcze być jakiś trzeci byk silniejszy. który tych obydwóch napędził. Poczekawszy chwilę zacząłem iść dalej. Nie uszedłem jeszcze kilkuset kroków, gdy gdzieś usłyszeliśmy grube, stłumione ryknięcie. Sądząc z głosu, gdzieś niedaleko na dole byk ryczał. Jeden z Fedorych objaśnił mnie, że tutaj w dole niżej jest duży stary zrąb, więc tam się ten byk znajdować musi. Wiatr szedł z dołu dobry. Posuwając się powoli ku dołowi wysokim lasem, ujrzałem rzednące drzewa i zrąb pod sobą. Rzeczywiście jeleń tam ryczał i dobrze go teraz słyszałem. Nie dochodząc do skraju lasu, ujrzałem pod

ST. R. R.

Z mego pamiętnika myśliwskiego.

Mój pierwszy rogacz.

— No, Stef, o 5-tej po południu pojedziemy na podjazd, przygotuj się! — Takie zdanie padło nagle podczas obiadu w lipcu 1900 roku z ust mego śp. Dziadka.

Pierwszy podjazd! Mój Boże, ile to myśli przelatywało mi przez głowę! Teraz jeszcze po 22 latach pamiętam, że z wielkiej emocji nie mogłem dokończyć obiadu i doczekać się, kiedy będę mógł wstać i pobiedz do zbrojowni. Przecież jednak skończył się ten nieszczęśliwy obiad, a w chwilę potem stałem już na stołku, wyjmując ze zbrojowni z należnym pietyzmem sztuciec. Muszę bowiem dodać, że byłem wówczas chłopcem, mającym 6 lat i 7 miesięcy, więc wprost stojąc, dostać go nie mogłem. Sztucerem tym był 9 m/m sztuciec „Dreisse“, iglicowy o bardzo małym ładunku prochu dymnego. Ze sztućcem tym znałem się już dawniej, ponieważ od paru tygodni strzelałem z niego do tarczy. O tem, abym mógł strzelać z innej broni, nie mogło być mowy, bo najpierw nie byłbym z cięższej mógł się złożyć, a po wtóre nie wytrzymałbym silniejszego odrzutu. Z nim to przeto po wytarciu lufy z oliwy na sucho, poszedłem do dziadka i przed Nim musiałem po raz już niewiem który powtórzyć raz jeszcze wszystkie czynności związane z nabijaniem, zamykaniem, wyładowywaniem itd., itd. O tem gdzie i jak miałem do rogacza strzelać, wiedziałem już dawno, więc tylko w myśli wyobrażałem sobie wszystkie pozycje w jakich mogłem go mieć do strzału. — Nareszcie nadeszła godzina 5-ta — i pojechaliśmy do rewiru w T. Na miejscu czekał na nas gajowy Mazur, z którym dziadek mój rozpoczął dłuższą konferencję; z tej wynikło, że najpierw pojedziemy na podjazd, a na wieczór wrócimy do tak zwanej „olszynki“, gdzie stale wychodziły trzy kozy i rogacz. Na podjeździe widzieliśmy kilka sztuk, lecz same kozy j o godzinie 7-mej byliśmy już pod olszynką. Tutaj z podjazdowej drogi mieliśmy je podchodzić. Po długiem czekaniu, gdy wypatrywanie zaczęło mnie już nudzić, spostrzegliśmy pod olszynką coś żółtego — i zobaczyłem 2 sztuki jak wychodziły z gąszczu, żerując, poczem jedna stanęła i oglądała się za siebie. W tej chwili czuję trącenie laską w rękę, oglądam się i widzę ruch głowy dziadka, który powiada „chodź“. Ruszam tedy za dziadkiem, starając się w Jego ślady stąpać — co mi się jednak nie bardzo udaje, więc poglądam na łączkę — ale nic nie widzę, bo trawy wszystko mi zasłaniają. Zrezygnowany zatem zaczynam skracać sobie czas zeskubywaniem kłosów traw, za co jednak zostaję odrazu skarcony, więc nolens volens idę jak mogę najciszej. Szliśmy ścieżką prowadzącą tak, że widać było łączkę, będąc samemu dosyć krytym. Po jakich 10 minutach takiego podchodzenia, widzę, że dziadek przystaje i podniósłszy wolnym ruchem lornetkę do oczów, patrzy. Mnie aż podnosiło, bo nic zupełnie z trawy widzieć nie mogłem, ale stoję, jak mur i tylko, jak w obraz wpatruję się w dziadka. Nareszcie tym samym wolnym ruchem lornetka opada i słyszę szept — „jest, teraz tylko bardzo uważaj“. — Boże! Serce miałem w tedy w gardle i lubo szedłem, jak ćma, jeszcze zdawało mi się, że idę za głośno — nareszcie po jakich 100 krokach Dziadek staje, klęka, podaje mi sztuciec i szepcze do ucha — „podejdź do tej olszyny i pal, jak będziesz dobrze widział — tylko spokojnie“. Ze sztucerem w ręce, nieczując jego ciężaru, wysuwam się, jak mogę najciszej i widzę łąkę w tem miejscu bez wysokich traw — a na niej cztery sztuki spokojnie żerujące. Jeszcze dwa kroki i jestem przy olszynie — widzę rogacza, jak stoi do mnie tyłem na kulawy sztych

sobą łanię, która z łbem zadartym wprost na mnie patrzała. Skamieniałem! Trwało to wieki! Czułem, że jeszcze chwila, a już padnę, nerwy i muszkuły nie wytrzymają już tak długiego znieruchomienia. — Na szczęście wiatr miałem dobry i ta bestja, wytrzymawszy mnie tak bez końca, łeb spuściła i paść się zaczęła.

Było to dla mnie wybawieniem, bo z niewygodnej pozycji znalazłem się pod jodłą już na ziemi i usadowiwszy się już jako tako, zacząłem się w dół rozglądać. Ujrzałem pod sobą cztery łanie, a za niemi o jakie 300 kroków łeb i wieniec kolosalnego jelenia. Odrazu widziałem, że to tylko 12-tak, ale jaki! Rogi grube, długie, ślicznie rozłożone z dwiema dużemi łopatami. Łanie zaczęły ku górze ku mnie się posuwać i w odległości może 50-ciu kroków pojedyńczo w las wchodzić. A na dole tymczasem grzmiał mój jeleń głosem potężnym. Zupełnie się biedakowi jakby nie śpieszyło ku śmierci iść!

Wreszcie już jest o 100 kroków może, jeszcze bliżej — już może 60, jeszcze czekam; krzyż w lunecie leży już na łopatce, jeszcze chwila i cudny ten król gór wali się w dół, by już nie powstać!!

Z dwoma wieńcami raźno idziemy ku kolebie w ten sam pamiętny dzień, co i w roku zeszłym. A nuż niedźwiedź się trafi jeszcze!

Już niedaleko było południa, gdy idący przodem jeden z Fediów raptem się zatrzymuje i cicho wymawia: „niedźwiedź pod nami kamienie przewraca“.

Stajemy jak wryci, sztuciec gotowy w ręku. Po chwili rzeczywiście pod nami w kosodrzewinie słychać „klap, klap“ i coś sapie i coś ciężkiego idzie ku nam. Gdy w tem, jakby naurągowisko za mną w górze raptem szalony ryk i trzask, i dwa byki, naturalnie obydwa słabe wraz z jedną łanią wpadają na mnie, odrazu łapią wiatr i wprost pędzą w dół na mego niedźwiedzia.

Wszystko stracone!

Podskoczyłem jeszcze w bok i zobaczyłem już w dali na dole szybko zbiegającego ogromnego niedźwiedzia. Strzału ryzykować już nie chciałem.

I tak pięknie zapowiadające się spotkanie spełzło na niczem.

Może w tym roku S-ty Hubert pozwoli, bym w przeznaczony mi widać w niebiesiech dzień 28. września całkowicie do końca swój program wypełnił.

Lipiec 1921. *S. K.*



ALBERT MNISZEK.

Na „madjanie“.

Zanim przystąpię do opisu ciekawego myśliwskiego epizodu, w którym odegrałem główną rolę, wytłumaczyć wpierw muszę znaczenie słowa „madjan“, słowa, które prawdopodobnie po raz pierwszy wchodzi w szpalty „Łowca“.

na jakich 60 kroków. W tej samej chwili — niewiem nawet kiedy — jestem złożony — „na miękkie aby kula doszła do komory“ — błyska mi przez myśl i bach...... zadymiło mi, nie widzę nic, tylko mam uczucie dobrego strzału. Odwracam się, patrząc na dziadka. Ten stoi i z lornetką przy oczach patrzy na łąkę. Podsuwam się za olszynkę, ale nic tam już niema. Nagle słyszę za sobą „psssst..“ wracam i zaczyna się indagacja — „jak strzelałeś — pyta dziadek, „od tyłu ku komorze“ — powiadam, — „a kule ma?“ — „ma na pewno“ i pytam dalej — „a co się stało?“. — Teraz dopiero spostrzegam z miny Dziadka, że jest dobrze i dowiaduję się, że rogacz po strzale zaznaczył dobrze i jakby z miękką kulą ruszył z kozami do małego zagajnika na łące, zkąd zdaje się, nie wyszedł. — Idziemy na strzał, mierząc kroki — jest ich 66. Na strzale znajdujemy farbę, ciemną, kleistą we wielkich kroplach. „Z wątroby“ — powiadam „bo tam kula powinna była wejść“. — Jakoteż farby znajdujemy coraz więcej i po niej dochodzimy do zagajnika. Teraz Dziadek postanawia obejść zagajnik do okoła, otropić, ale do środka nie wchodzić, aby postrzałka nie ruszać, tylko jutro rano z psem w gąszczu szukać. Dziś bowiem już jest za późno.

W domu rodzice moi czekali na nas i zaczęło się opowiadanie, a że i matka i ojciec myśliwi, więc postanowiliśmy wszyscy rano jechać. Zasypiając w mem łóżeczku z drabinkami, mówiłem jeszcze, „że Dziaduś powiedział, że jeżeli ma kulę we wątrobie — to będzie nasz“ i zasnąłem jak kamień.

Rano budzę się szarpnięty za rękę i widzę matkę moją ubraną po myśliwsku i słyszę „wstawaj prędko, bo rogacz jest — ładny szóstak i doskonała kula“. — Pokazało się, że rano nie można się było mnie dobudzić, więc rodzice wraz z dziadkiem pojechali sami i zaraz rogacza z psem znaleźli, poczem Matka wróciła, aby mnie przywieźć. Toaleta moja zredukowana do minimum trwała krótko i w ubrańku z krótkiemi skarpetkami w 10 minut jechałem już do olszynki. Za miejscu — o grozo i matka niechcąc abym się zarosił, wzięła mnie na plecy i doniosła do samego rogacza, który leżał nieruszany. Tu dopiero dziadek mnie uściskał i ze łzami w oczach wymalował farbą obydwa policzki rzęsiście. Musiałem jeszcze raz opowiddsieć, jak strzelałem, jakie miałem uczucie itd. itd. Ostatecznie pokazało się, że miał kulę tak, jak mówiłem, to jest krzyżowo od tyłu ku komorze, rożki dosyć ładne, sama sztuka niezła.

Z rogaczem tym jestem fotografowany, łeb zaś wypchany wisi do dziś dnia w mej zbrojowni. W pamiętniku dziadek własnoręcznie wpisał następującą uwagę: 13/7 1900, rogacz w T. Na podchodnym, wieczorem — strzał na 66 kroków kulą ze sztućca Dreisse. Kula przeszła krzyżowo — znaleziony rano nieżywy — 100 kroków od strzału w olszynie. Ogólna radość. Długo potem rogacz ten stanowił jedyny temat mych myśliwskich wspomnień, a że jak powiadają, jestem dziedzicznie obciążony myśliwstwem, więc dopiero pierwszy jeleń strzelony w rok potem, zatarł nieco owe wspomnienie.



Otóż pewien mój kolega myśliwy, orjentalista, badacz tajemnic Buddy i Sziwy biegły równie w sanskrycie, jak i w arkanach myśliwskich, oświecił mnie, że w dorzeczu Gangesu i Bramaputry, krajowcy nazywają madjanem, to co my amboną, a jeszcze piękniej hochsztandem. Ponieważ zaś sanskryt jest pierwiastkiem, z którego czerpały życie wszystkie języki rasy kaukazkiej, a więc i mowa polska, słowo madjan ma prawo w niej do życia a zarazem do obywatelstwa w naszej gwarze myśliwskiej.

Nie przesądzając słuszności zdania mego przyjaciela i pozostawiając rzecz do ocenienia naszym polonistom i językoznawcom, pozwolę sobie jednak zauważyć, że słowo „madjan" jest mi sympatyczne i mogłoby może zapełnić nieznośną lukę w nomenklaturze wyrazów myśliwskich. Nie będąc ani duchownym, ani niemcem, nie mam prawa używać ambony, ani nie lubię wyłazić pod polskiem niebem na hochsztand, za to na madjanie choćby i codziennie po kilka godzin przesiadując, nigdy nudzić się nie będę.

Było to 27. lipca b. r. w Łuce a p. Henryka Preka. Rozpalone słońce chłodziło już swą głowę w zielonych gąszczach lasowych, mrok powoli obejmował ziemię w takiej ciszy, że słychać było trzepotanie skrzydeł owadów i skoki żabek leśnych po twardych spragnionych rosy liściach i trawkach. Od dwuch godzin siedziałem na madjanie panującym nad małym, kilkumorgowym zrębem, silnie młodą świerczyną podszytym, otoczonym wkoło zwartymi zagajnikami. Zrobiło się wreszcie tak ciemno, że dalsze oczekiwanie na kapitalnego rogacza, który zwykle na tym zrębie się zjawiał, było bezprzedmiotowe, zabierałem się więc już do zejścia nadół.

W tej chwlli jednak doszedł mego ucha cichy trzask przeciśniętej ciężarem suchej gałązki... trzask powtórzył się znowu, zaszeleściały krzaki, nie było już wątpliwości, że nie rogacz, ale zwierz gruby, a więc dzik, wprost do madjanu podchodzi. Właśnie z tej strony gąszcz przeplatany młodą świerczyną prawie madjanu dotykał, tak że słysząc zwierza już prawie pod sobą, jeszcze go ujrzeć nie mogłem. Wreszcie z pod grupy świerków podemną wynurza się czarna masa dzlcza. Szukam jej w mojej lunecie, lecz nim mi się znaleźć ją udało, dzik włazi pod madjan, załatwia tam niewidzialny dla mnie, a zdradzany tylko prawem akustyki, sekretne potrzeby tualetowe, nakoniec zaczyna się wycierać o' dąbka, będącego jedną z podpór pomostu na którym stoję. Madjan drży cały a ja stoję martwy i słyszę serca własnego bicie. Sytuacja wprost tragiczna! Którędy i kiedy dzik wyjdzie?... A jeżeli się przyjdzie obrócić? Podłoga skrzypnie, a zwierz spłoszony umknie o kilka kroków w gąszcz bez możliwości dania do niego strzału! Takie refleksje miotały mą duszą myśliwską, gdy w tem zwierz wraca tą samą drogą... W sekundzie mam go już w lunecie a raczej jego jakąś część tylko gdyż z powodu blizkości, w lunecie robi się całkiem czarno i krzyża w niej nie widzę zupełnie. wreszcie znajduję łopatkę, strzelam, a martwe cielsko zapada się w trawie.

Był to sędziwy odyniec z pysznymi kłami, jeden z większych, ubitych w mem życiu.



DR. J. KALM-PODOSKI.

O psach rasowych i rasach psów.

(Ciąg dalszy).

Leonberger.

Rasa ta hodowana od kilkudziesięciu lat w Leonberg w Würtenbergji, pochodzi podobno z skrzyżowania Bernardyna z Nowofundlandczykiem. Kształt zupełnie Bernardyna, tylko maść płowa lub żółta z czarnym pyskiem.

Nowofundlandczyk.

Newfoundlanddog, Terreneuve, pochodzi jakoby ze skrzyżowania pudla z francuskim brytanem, a może z labradorskim psem. W roku 1622 pierwsi marynarze francuscy, którzy w Nowofundlandji wylądowali, nie zastali tam podobno psów. Natomiast sami je tam przywieźli i w dalszym ciągu rozpowszechniali. Z tych wytworzyła się tam nowa rasa, którą już w końcu XVIII wieku zaczęto do Europy importować. Rasa ta jest dziś w Anglji, Francji i Niemczech bardzo rozpowszechniona i systematycznie hodowana.

Pies ten przypomina Bernardyna, ale jest trochę mniejszy (do 70 cm), głowę ma krótką, z nosem lekko do góry zadartym, włos gęstszy i dłuższy, maść przeważnie czarna, rzadko bronzowa i ma między palcami błonki do pływania. Specjalnością tej rasy jest pływanie i ratowanie topielców.

Wszystkie trzy powyższe rasy odznaczają się wielką łagodnością, szczególnie wobec dzieci, niezłomną wiernością i przywiązaniem, czujnością i zdatnością do tresury.

Brytany (Dogi).

Brytan (C. fam. molossus) był, jak się zdaje, najpierwszym psem, który człowiekowi przedhistorycznemu — i to w różnych stronach świata, służył. Najdawniejsze zabytki sztuki, ale i wykopaliska, wykazują psa bardzo podobnego do dzisiejszego brytana duńskiego, albo niemieckiego. W średnich wiekach używano brytanów przeważnie do polowania na najgrubszą zwierzynę, jak tury, niedźwiedzie i dziki. Z czasem, kiedy ten rodzaj polowania z mody wyszedł, przestano też hodować te rasy dla celów myśliwskich, a co z tych psów zostało, pędziło spokojniejszy żywot jako stróże, psy rzeźnickie, ba, nawet pociągowe.

Z biegiem wieków familja brytanów w różnych krajach różne przemiany odbywała, wytworzyły się różne typy i nawet zwyrodniałe typy, które dziś osobnemi rasami nazywamy.

Do tej familji należą: angielski (Mastiff), niemiecki (Deutsche albo Ulmer Dogge, great Dane), duński i francuski (dogue de Bordeaux), prawdopodobnie i Rottweiler. Dalszemi zaś, poniekąd zwyrodniałemi odmianami tej rodziny są: Bulldog, niemiecki Boxer, wreszcie francuski buldog (Buldogue français) i mops.

Brytany odznaczają się dużym wzrostem, masywną' bardzo muskularną, ale zarazem szlachetną budową. Łeb dosyć duży, wyrazisty, uszy półstojące, włos krótki i gładki. Charakter niekoniecznie sympatyczny. Za młodu zwykle łagodny i posłuszny, w późniejszym wieku robi się zły, często nieposłuszny, w afekcie bywa strasznie zajadły, a przytem niesłychanie odważny, nie znający żadnego niebezpieczeństwa.

Niemiecki Brytan.

Najszlachetniejszy typ między brytanami przedstawia niemiecki „Deutsche Dogge" wzrostu do 95 cm. z szla-

chetnym łbem, przypominającym nieco głowę legawca i smukłą, muskularną budową. Maść: płowa, z czarnym pyskiem, stalowo-błękitna, pręgowana (geströmt), albo biała w cętki (getigert). W Niemczech ucinano mu uszy w szpic, co mu bardzo typu dodawało. Dziś, ze względu ną ewentualny eksport do Anglji zostawiają czasem uszy, jak są. W Anglji od lat kilkunastu niemieckie brytany bardzo się rozpowszechniły. Nazywają ich tam „great Dane“. Z powodu utrudnionego importu, koniecznego do odświeżania rasy, psy te w Anglji hodowane nie mogą się porównać z niemieckimi.

Duński brytan.

Mniejszą odmianą niemieckiego jest Duński brytan (dogue danois), zresztą całkiem do poprzedniego podobny. Utrzymują niektórzy, że powstał on ze skrzyżowania charta z brytanem, ale dowodów podobno na to niema.

Mastiff.

Angielski „Mastiff“ dochodzl 75 cm., znacznie masywniej zbudowany od poprzednich, z dużym łbem, przypominającym buldoga, maści płowej, z czarnym pyskiem.

Dogue de Bordeaux.

Dogue de Bordeaux wzrostem i kształtem pośredni między Mastiffem a Buldogiem. Rasa ta prawie wyginęła. Dopiero przed kilkunastu laty utworzył się w Bordeaux klub, w celu odrodzenia jej.

Rottweiler.

Rottweiler, hodowany w Würtembergji, z wielu względów przypomina właściwości brytanów, dlatego, chociaż może niesłusznie, tutaj go przyczepiłem. Zwrostu dużego legawca masywnie zbudowany, z łbem krótkim a szerokim, nosem lekko zadartym, uszami półstojącymi, siercią grubą, krótka, bardzo gęstą, robi wrażenie ordynarne. Maść przeważnie „black and tan“, rzadziej brązowa, z żółtemi odmianami. Szczenięta rodzą się prawie zawsze bez ogona. Pies ten z natury łagodny, niesłychanie odważny, bardzo inteligentny i z nosem godnym najlepszego legawca, uchodzi za najlepszego ze wszystkich psów policyjnych i sanitarnych i rasa ta w tym głównie celu przez klub specjalny od wielu lat jest hodowaną.

Bulldog.

C. fam. mol. gladiator, należy do najstarszych ras psów domowych Jak już wspomniałem, znajdowano go w grobach Inkasów w Ameryce. Rzymianie sprowadzili bulldogi z ówczesnej kolonji „Britania“ dla walki z dzikiemi zwierzętami w amfiteatrach. Dziś rasa ta uważana jest jako specyficznie angielska, chociaż i w Niemczech hodowane bulldogi niczem gorsze nie są od angielskich. Figura bulldoga jest znana. Na nizkich, muskularnych, nieco wykrzywionych łapach ciężki tułów, a na krótkim, grubym karku, ogromna, przypłaszczona głowa, z nosem zadartym i przypłaszczonym, wiszącemi wargami i nieraz wyszczerzonemi zębami. Fizygnomja ogromnie wyrazista i mająca bezsprzecznie coś ludzkiego w sobie. Jest to pies bardzo inteligentny, bardzo wierny, zwykle łagodny, ale raz rozsierdzony, bywa bezgranicznie zajadły.

Boxer.

Odmianą bulldoga jest niemiecki „Boxer“. Na wyższych i prostych łapach, wogóle trochę smuklejszy, ale równie muskularny, z głową i pyskiem trochę mniej przypłaszczonym. Nieraz trudno go od bulldoga odróżnić. Jest to pies bardzo żwawy i ruchliwy, wysoce inteligentny, daje się znakomicie tresować, jako pies policyjny i jest równie odważny jak bulldog.

Francuski bulldog.

Karłowatą odmianę bulldoga jest „Buldogue francais“, zupełnie, ale en miniature, podobny do niego, ale z dużemi stojącemi uszami na kształt nietoperza. Jest to bardzo miły piesek pokojowy, bardzo inteligentny i łagodnego charakteru.

Momps.

Mops (pug) niegdyś bardzo modny, dziś już prawie zapomniany, pochodzi także z familji bulldogów.

Dalmatyniec.

Dalmation dog (Dalmatiner) w Dalmacji jako pies domowy, względnie podwórzowy, trzymany, pochodzi prawdopodobnie także z przedhistorycznych brytanów, kształtami przypomina trochę duńskiego doga, ale zwrostem dochodzi ledwo pointera. Odznacza się on dziwaczną mnścią, jest bowiem biały a pokryty gęsto czarno-błękitnemi cętkami wielkości św. p. aust. korony, a tak regularnemi, jakby były malowane. Dla tej egzotyczności hodoja go w niektórych Kennelach w Anglji. Pozatem nie posiada on żadnych specjalnych zalet.

Pudel.

C. fam. aquatiaus, Poodle, caniche, dawniej bardzo modny, dziś coraz rzadziej się zpotyka. Uchodzi on za najmędrszego ze wszystkich psów. Znane są różne dykteryjki o jego zmyślności. Hodują go w trzech odmianach: wełnisty (Wollpudel), kędzierzawy i sznurkowaty (Scnürlpudel). Maść czarna albo biała.

Szpic.

Pomeranian dog albo pom, Pommer albo Spitz. Nazwa wskazuje na pochodzenie z Pomorza. Rodzina bardzo rozgałęziona i rozpowszechniona szczególnie w krajach północnych. Między innymi należą do niej: zwyczajny szpic (pomorczyk) biały albo czarny, rzadziej żółtawy i jego odmiana karłowata (toy pom). Dalej znacznie większy, wilczego koloru z czarnym pyskiem estoński „Wolfspitz“. Wreszcie rzadziej spotykane ale przez K. C. notowane: biały „Samoyede“, czekoladowy „chów“ z Mandżurji i lapoński pies pociągowy. Charakterystyczne znamiona szpiców są: krótki szpiczasty nos, stojsce uszy, bardzo gęste i bogate owłosienie i ogon kudłaty w trąbkę zwinięty i na krzyżach leżący, jakby do nich przyrośnięty.

(C. d. n.)



Korespondencje.

Koropiec 20/VIII. 1921.

Korespondencje zapełniające szczupłe łamy „Łowca“ od szeregu lat już poświęcone są przeważnie jeleniowi i dzikowi, głuszcowi i słonce. Przy całym szacunku, jaki żywię dla tych dostojników wśród naszej fauny, ubolewam mocno nad jednostronnością sprawozdawców. Pieśń myśliwska na tysiącznych gra strunach, świat czucia myśliwskiego jest wielki i wszystko, co porusza duszę myśliwego, powinno echem brzmieć w „Łowcu“. Śliczny w epopei polskiego łowiectwa rozdział — polowania na błotach — pominęty niemal zupełnie. A przecież rysunek starego Kossaka, ilustrujący — jeśli się nie mylę — W. Pola „Roku myśiiwca“ miesiąc sierpień, niejednemu z nas jest, jakby wykrojony z tęskniącej wyobraźni. Dla wielu starszych beztroskie pod upalnem niebem brodzenie po niezmierzonej ongi zieloności moczarów jest symbolem prawie czasów dawnych, a więc dobrych. Ci przedstawiciele starszych pokoleń, dzisiaj z przeróżnych powodów unikający grzązkiego terenu błotnych polowań, chowając skrzętnie swój śrut na pędzonego wygodnie wigilijnego zajączka, tem chętniej sięgają do zbrojowni swych wspomnień i roztaczają przed okiem młodszych bajeczne rozkłady „ptaszków“, jakie dawał wtedy jeden dzień pracowicie na błotach spędzony.

Przebrzmiał dawno dymny huk kapiszonówek lefauchówek, minęły bezpowrotnie czasy tego raju, gdzie kszyk jeździł na krzyku, a dubeltem poganiał! O dubelcie coraz ciszej i ciszej. A ptakowi temu należą się jakieś starania! Śp. Leopold Starzeński z lubością rejestrujący dubelty Sznyzowskie i Bołdurskie nie pozostawił naśladowców. Możeby Redakcja „Łowca“ wezwała swych czytelników, aby choć w najkrótszej formie donieśli, ile w tym sezonie zabili dubeltów i gdzie, w tym celu, byśmy sobie mogli zdać sprawę, które jeszcze zakątki naszego kraju zaliczają je do swych mieszkańców. Wszak muszą być dubelty w okolicach Brodów i Radziechowa, gdzie w roku 1911 z miłym przygodnym gościem, któremu wybuchem naboju oko nie przeszkadzało w celności strzałów, na kilkudziesięciometrowym kawałeczku ruszyliśmy kilkanaście sztuk.

W stronach Koropca o dubelcie nikt nie wie. Błót prawie nie posiadam i chcąc odetchnąć zapachem szuwaru i wody, korzystam z sąsiedzkiej gościnności. W poblizkim Niżniowie Dniestr utworzył liczne jeziorka, ptactwem dość dobrze zaludnione. Kaczek wprawdzie dotąd nie wiele; prócz krzyżówek i cyranek, zabijałem podgorzałki, widziałem też głowienki. Kaczki trzymają się czystej powierzchni wody. Natomiast kszyków jest sporo, przesiadują one przeważnie po słabo zarośniętych brzegach owych jeziorek, są więc czujne i lotne, zapraszające do dalekich strzałów. Leniwych, ociężale lecących kszyków nie spotkałem tego roku, mimo tak niezwykłych upałów.

Ruch na Niżniowskich mokradłach jest ożywiony. Przemieszkują tam kolonie czapel, z których niejedna wysoko nad strzelcem przeciągając, daje sposobność do wypróbowania siły wzroku, ostrości naboi. — Opodal błotniak stawowy niezgrabnie unoszac się nad szuwarem, sumiennie bada jego zawartość. Z natrętnym piskiem drobne kuliki mieszają się między szlachetniejszą brać, a nagle o parę kroków od myśliwego wylatuje z trzciny wystraszony duży bąk, — daremny wysiłek jego miękkich skrzydeł, nie będzie on już nocą zadziwiał nieświadomego wędrowca podziemnem huczeniem, strzałem rozerwany spada jak strzęp i nikt się po brzydkiego szkodnika nie schyli. Lecz oto przystaje myśliwy, bo przeciągłem, melodyjnem gwizdnięciem zapowiada się zdobycz ponętna, kulon stepowy — cóż, kiedy w przesadnej aż ostrożności dalekiem półkolem zwolna okrąża poważny ten ptak zaczajoną nań strzelbę. Głos jego donośny nie prędko zaginie w oddali.

Kilkakrotnie polowałem tego roku w Niżniowie. Ostatni raz wybrałem się temu 3 dni z moim szwagrem Jabłonowskim, popołudniu; nie doznaliśmy zawodu, gdyż w przeciągu trzech i pół godziny zabiliśmy we dwóch 77 sztuk kaczek i krzyków, ale głównie krzyków, bo 64. Chłopców towarzyszących nam musieliśmy dwukrotnie odsyłać z ptactwem zabitem do wózka. W dość równych udziałach złożyliśmy tę cyfrę. Liczyliśmy też strzały potrzebne do osiągnięcia rozkładu owych dwóch siekiarek. Było ich 156. Chłodna temperatura i brak rażących promieni słońca korzystne były przy strzelaniu. natomiast procent trafności niewątpliwie umniejszony był okolicznością, iż musieliśmy użyć kilkudziesięciu naboi z numerem ósmym śrutu, oraz krótkotrwałym na szczęście deszczem. Niestety ciągu kaczek tego wieczoru nie było wcale.

Dzienniki doniosły o wczesnym przelocie ciągnących na południe ptaków. Znamiennym, dobrze znanym myśliwemu obrazkiem są obradujące poważnie na łące naokoło stogu sejmy bocianie. O zmroku ogromny rój jaskółek z nienacka uderza na szuwar oszałamiając szumem tysięcy zwinnych skrzydełek — a gdy noc zapada, odzywa się wysoko pod ciemnym stropem nieba ponury głos ciągnących dużych bąków, którym dyskretnie wtórują małe ich krewniaki.

Te oznaki jesieni nie trapią myśliwego, który niebawem wytęży słuch w stronę Karpat, który myślą buszuje już po liściach pożółkłych za słonkami, któremu w oddali rysuje się na białym śniegu sylwetka dużego odyńca na sztych idącego. Gdy to ostatnie widziadło się urzeczywistni, dopieroż będzie opowiadań. Część ich może atramentem spłynie na papier, a Redakcja „Łowca“ po letniej posusze, opady te z zadowoleniem powita.

A może w długim szeregu zimowych wieczorów niejeden z nemrodów z górnych wyżyn łowów jelenich i dziczych, zstąpi w mokre niziny naszych poczciwych błotek, wspomni, ile im zawdzięcza i opowie nam o raju dubelcim, o cyrankach i krzykach i o dawnych, dobrych czasach?

Stefan Badeni.

Rudnik, 16/VIII 1921.

Posłuszny wezwaniu przesyłam sprawozdanie z powiatu Niżańskiego. Stan łowiectwa u nas smutny, tereny, które przed wojną miały bodaj najlepszy stan sarn w Małopolsce i bardzo piękny stan jeleni, są opustoszałe.

Niech mi wolno będzie przytoczyć przykład z własnego terenu łowieckiego (Rudnik nad Sanem). Przed wojną odstrzał rogaczy wynosił 60—80 rocznie, dziś na tym samym terenie jest najwyżej sto kilkadziesiąt sarn obojej płci. W porównaniu z ubiegłymi laty jest jednak pewien zwrot ku lepszemu, dzięki zmniejszeniu się kłusownictwa. O ile ten postęp się utrwali, to za kilka lat będziemy mogli dojść acz nie do dawnego, to jednak do pokaźnego stanu sarn.

Dzików stanowczo mniej, niż w roku zeszłym, choć wobec krótkotrwałych śniegów w ubiegłej zimie mało na nie polowano.

Bardzo dobre nadzieje stosunkowo rokuje stan zajęcy, ale to słaba pociecha, bo w naszych głębokich lasach polowania na drobną zwierzynę są, rzecz prosta, zawsze bardzo słabe co do rezultatów. Główna zaś okrasa tych polowań, lisy, których przedtem było dużo — nie widziałem w naszej okolicy polowania zajęczego, gdzieby padło mniej jak 5 lisów, a dochodziło do 12 na dzień — wyzdychały w roku 1916 na parchy.

Kuropatw niema prawie wcale, przepiórek jak na nasze stosunki dość dużo.

Wiosenny ciąg słonek był całkiem ładny. Plaga naszej okolicy jest ogromna ilość jastrzębi, wron i srok, których tępienie bardzo jest utrudnione wskutek niemożliwości nabycia puchacza, oraz trudności w zaopatrzeniu straży leśnej w broń śrutową.

W dniu wczorajszym zauważyłem w młodniku sarnę, przypatrując się jej przez lornetkę zobaczyłem na jej głowie różki śpiczaka. Lecz jakież było moje zdziwienie, gdy za mniemanym śpiczakiem wyszły z zagajnika dwa tegoroczne koźlęta, a opodal dobry szóstak. Obserwując dalej skonstatowałem, że mniemany śpiczak był kozą. Wiem, że stare jałowe kozy czasem dostają rogów, lecz nie słyszałem nigdy, by koza płodna mogła mieć rogi i prosiłbym Szanowną Redakcję „Łowca“ o łaskawe poiuformowanie mnie pod tym względem. *)

Hieronim Tarnowski

Delegat na powiat Nisko.

*) Rzecz rzeczywiście niezwykła. Należałoby tę kozę po odkarmieniu młodych odstrzelić i poddać anatom. badaniu. (Red.).

Radziechów, 22/VIII. 1921.

Nienormalny stan łowiectwa, jaki panował od chwili wybuchu wojny, aż do ubiegłej zimy, zaczyna się wreszcie poprawiać i mam nadzieję, że jeszcze przed zaczęciem sezonu zimowego będzie wszystko należycie uporządkowane.

Polowanie w kilku gminach jest przedłożone do zamknięcia, ale zamknięto dopiero w jednej gminie i to ku wielkiemu niezadowoleniu obywateli tejże gminy, którzy dopatrują się w tym chęci dokuczenia im, nierozumiejąc, że dla podniesienia zwierzostanu trzeba sobie czasem odmówić przyjemności polowania. Zwierzostan ucierpiał bardzo przez wojnę, najwięcej ucierpiały sarny i kuropatwy, które zostały prawie doszczętnie wyniszczone w zimie w roku 1918 — 1919. Na mój wniosek Starostwo zamknęło polowanie na kuropatwy na dwa lata; odpowiedni okólnik załączam.

Stan zajęcy, zwłaszcza w ostatnich dwóch latach poprawił się znacznie, nie we wszystkich wprawdzie rewirach, tylko tam, gdzie jest jaki taki ład i racjonalna gospodarka łowiecka.

Zawdzięczać należy to i temu, że w czasie wojny dużo lisów zostało wybitych przez wojskowych, chciwych skórek, a bardzo dużo wyginęło na parchy, którymi zarażały się od koni wojskowych, padłych na tę chorobę. Dziki najmniej ucierpiały w czasie wojny, zato tam nie mają spokoju, gdyż przez cały rok wre gorączkowa praca w lasach, a prócz tego kłusownicy uzbrojeni w broń wojskową prześladują dziki po całych dniach i nocach, polując bezczelnie w biały dzień z nagonką na wszystko co w lecie idzie pod lufę, nie wachając się strzelać do gajowych, którzy im w tem chcieli przeszkodzić; to też trzech gajowych zostało do tej pory już zabitych i nic nie jest zrobione, żeby temu zapobiedz.

Plagą dla drobnej zwierzyny, są wszelkiego rodzaju szkodniki, jak psy, koty, oraz skrzydlate drapieżniki, które rozmnożyły się ogromnie, a na wyniszczenie których potrzeba masa amunicji, o którą teraz tak trudno i jest zbyt droga, żeby każdy mógł jej wystrzelać tyle ile potrzeba.

Polowanie na ptactwo błotne i wodne nie dopisało, gdyż z powodu nadmiernej posuchy powysychały wszystkie prawie bagna i ptactwo wyniosło się na większe wody; przez to i ciągi dubeltów są spóźnione i słabe i krzyków mało.

Zato przepiórek jest dość w porównaniu do lat poprzednich, tylko w roku 1918 było ich równie dużo i kuropatw było w niektórych gminach nawet dużo, n. p. w Dmytrowie zostawiliśmy w roku 1918 15 sztuk nietkniętych, a nie pozostało nic, smutne to jest bardzo.

Cześć św. Hubertowi.

Stanisław Juśkiewicz, delegat.

Radłowo lesne 20VIII 1921.
Wojew. Poznańskie.

Tu bory i bory, bez podszycia żadnego, czyste, rzadkie, na pół kilometra ujrzysz zająca. On jeden prócz królika najliczniejszy w tym boru mieszkaniec. Ród sarni rzadki, a gdy się zdarzy jakiś koziołek, to trzeba być „ścierwiażem“ chyba lub kłusownikiem, aby się zdecydować na odstrzał, taki malenki i biedny. O dziku mowy tu nie ma

Na polach pustki, oprócz zajączka, który ciągle i ustawicznie goniony przez psy, bez których żaden pastuch bydła kóz i owiec obejść się nie może, jest również nieliczny. Kuropatwy rzadkość. Przepiórka nawet nie istnieje.

Taką znajduję okolicę w której obecnie przebywam w tym tak wymarzonem Poznańskiem. Żyje się w warunkach nieznanych nikomu t. j. nadzwyczajnych, gdyż od maja do dziś bez deszczu, przy tropikalnej spiekocie 42° R. oraz huraganach; — są dnie w których zdaje się, że to „sahara“, gdzie kurz gorący wwiewa się w nos, oczy — na krok człowieka wówczas nie zobaczy się. Dęby 80—100 letnie, wskutek posuchy utraciły liście, które zupełnie suche, białe, nieprzyjemnie szeleszczą trzymając się jeszcze na drzewach.

Ptaki po drogach chodząc, dyszą z otwartymi dziobami, łakną wody.

O zwierzynie tu nikt nie myśli, tak jak w Małopolsce. O hodowli o odświeżaniu krwi ani mowy. Ciekawi są jej liczebności tylko. Zobaczę w jaki sposób będą tu polować, czy można będzie poznać myśliwego chociaż jednego, któryby polował i myślał o zwierzynie, jak prawdziwy myśliwy.

O rezultatach tutejszych polowań nie omieszkam donieść.

M. Zaborski
leśniczy państw.

Kołomyja w wrześniu 1921.

Do wiadomości Szan Redakcji donoszę, że dnia 10-go września b. r. wieczorem, zasiadłszy koło młaczek, niedaleko Prutu, oczekując kaczek, widziałem lecącą słonkę z jednej do drugiej młaki. Po kilku minutach, w ślad za pierwszą druga nadleciała, którą zabiłem.

Z poważaniem
W. S.

Sprawy Towarzystwa.

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału z dnia 12/9. 1921.

Obecni: Prezes J. hr. Bielski, wiceprezes Albert Mniszek; członkowie Wydziału: Orski, Streer, Podoski, Münter, Garapich, Jędrzejowicz, Kumor, Wacek, Kamienobrodzki.

Po odczytaniu protokołu z ostatniego posiedzenia Wydziału zabiera głos wiceprezes Mniszek w sprawie utworzenia wszechpolskiego związku myśliwskiego i stawia wniosek, by odnieść się w tej sprawie do Poznania i Warszawy z propozycją, by wszystkie Towarzystwa myśliwskie mianowały swych delegatów, którzy wzięliby udział w powszechnem zjeździe myśliwych w Warszawie celem założenia Związku.

Mianowanie delegatów:

powiat Rohatyn: Gustaw Rupp i Tadeusz Ząbecki (na wniosek p. Wacka);

powiat Skole: Michał Jędrzejowski (na wniosek p. Wacka);

powiat Sambor: Edmund Kappy (na wniosek p. Streera);

pooiat Rudki: pp. Rojecki, Stanisław Bal, Dudzik na wniosek p. Mniszka);

powiat Husiatyn: Mieczysław Tarnawski (na wniosek p. Wacka);

powiat Podhajce: Kazimierz Gołębski (na wniosek p. Streera).

Przyjęci nowi członkowie: J. Szuzdak, R. Schmidt, Fr. Rupp, Arnold Ewy, J. Cewnecki, Wł. Gilowski, W. Dziedzic. A. hr. Drohojowski, Br. Guszkowski, ks. C Pasieczyński (prop. p. Biliński). Dr. L. Ihnatowicz (prop. p. Wacek).

Przyjęto rezygnację delegata p. Edw. Schuppika a mianowano w jego miejsce delegatem na powiat Bohorodczany p. Wł. Wyszkowskiego.

Sprawozdanie kasowe: Gotówka 123.000 Mk.

Sprawę inseratów „Łowca“ oddano do załatwienia sekretarzowi Wackowi.

Sprawa druku „Łowca“: Drukarnia podwyższyła cenę za druk „Łowca“ na 30'000 Mp.; Wydział jednak po dyskusji postanowił wkładki członków podwyższyć dopiero 1. stycznia 1922 r.

Następne posiedzenie Wydziału 10/X. 1921.

Godziny urzędowe od 10 tej do 12-tej rano i 6-tej do 7-mej popołudniu.

Roczniki „Łowca“ z lat 1914—18 do nabycia w Redakcji „Łowca“ po 300 Mk., pojedynczy Nr. 30 Mk.

Wyżeł 4-miesięczny, czystej rasy niemieckiej do sprzedania.

Wiadomość w Redakcji.

Piękny, rasowy wyżeł niemiecki,

18 miesięcy mający, z łatami bronzowemi, na tle popielato nakrapianem, z tresurą pokojową,

z powodu obawy przed strzałem do odstąpienia za zwrotem własnych kosztów 6.000 mp, względnie za zamianą za psa wprowadzonego w pole.

Wiadomość u Dra Piaskiewicza w Kołomyi.

Ogłoszenie!

Towarzystwo Myśliwskie Stadnin państwowych poszukuje do zakupna młodych puhaczy w celu tępienia szkodników w swoich rewirach.

Łaskawe zgłoszenia pod adresem:

Major Tadeusz Piorkowski
Kraków, ul. Lubomirskiego 27.

J. R SARTORI
LWÓW, UL. KURKOWA L. 2.
długoletni wspólnik i techniczny kierownik firmy A. Dzikowskiego
poleca swą
PRACOWNIĘ RUSZNIKARSKĄ
sprzedaż prochu, amunicję i przyborów myśliwskich. Wykonuje wszelkie w zakres rusznikarstwa wchodzące roboty po cenach umiarkowanych.

Specjalista w ostrzeliwaniu broni kulowej jakoteż w lunetach.

ROK ZAŁOŻENIA 1893.
F. M. ZŁOTNICKI
ZAKŁAD ŚRODKÓW NAUKOWYCH
LWÓW, PASAŻ HAUSMANA l. 8.
POLECA P. T. MYŚLIWYM
WŁASNĄ PRACOWNIĘ WYPYCHANIA
PTAKÓW I SSAKÓW
PODŁUG NAJNOWSZYCH METOD DERMOPLASTYKI
OPRAWA ROGÓW, KŁÓW i t. p.
CENY PRZYSTĘPNE

Broń palną
wszelkich systemów naprawia, sprzedaje nową sprowadzoną z zagranicy
oraz przybory myśliwskie
Pracownia rusznikarska
:: Lwów, ul. Legionów 3. ::

FRANCISZEK KALKUS
PREPARATOR MUZEUM IM. DZIEDUSZYCKICH
LWÓW, ul. STASZICA l. 3.
(BOCZNA ZIMOROWICZA)

Przyjmuje wszystkie rodzaje ptaków i ssaków do preparowania według najnowszej techniki preparatorskiej (dermaplastycznie). Specjalnością pracowni jest preparowanie zwierząt egzotycznych, montowanie i naprawa rogów.

:: Przyjmuje skóry do garbowania z włosem. ::



Redaktor odpowiedzialny: Rudolf Wacek. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14.